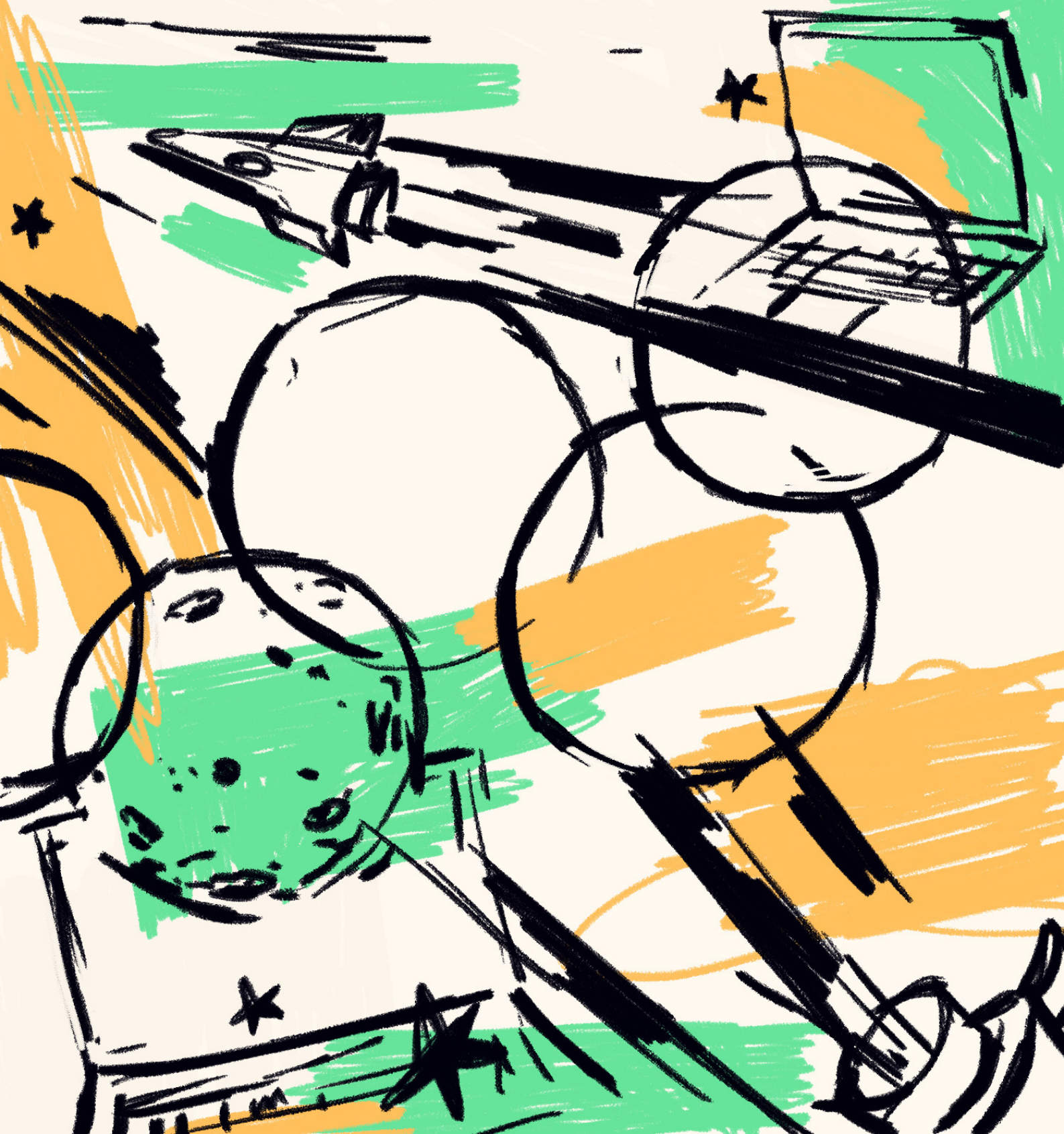


BOHDAN

PETECKI

Wiatr od słońca



Bohdan Petecki

WIATR OD SŁOŃCA

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2023

ISBN: 978-83-67562-88-1

Copyright © Katarzyna Petecka-Jurek

Tekst: Czytelnik, Warszawa 1985

Projekt okładki: Karolina Lubaszko

Spis treści

Tuptaczek, szampana!

ABZ-22, na start!

Siedemdziesiąt pięć sekund

S.O.S.

Druga „historyczna”

BAW-3, proszę o drogę

Rozgrywka wśród gwiazd

Wiatr od Słońca

Trzeci Pomnik

Tuptaczek, szampana!

Dochodziło południe. Słońce ukazało się nad rosnącymi w ogrodzie sosnami i przestrzeliło promieniami szklaną ścianę pokoju. Snop światła padł na tarczę ekranu. Cały wielopiętrowy człon zawilego wzoru zniknął pod jasnożółtym, ognistym lśnieniem.

Maciek syknął ze złością i szybko wdusił mały klawisz u dołu pulpitu. Szklana ściana natychmiast nasiąkła zgaszoną czerwienią, ekran przestał puszczać słoneczne zajaczki, ale wspaniały wzór zdążył już z niego uciec.

– Rupieć!

– Czy dobrze cię zrozumiałem? – spytał przesadnie uprzejmym tonem głośnik umieszczony z boku ekranu.

– Nic, nic – wycofał się pośpiesznie chłopiec. Nie czas było teraz przypominać domowemu komputerowi, że słówko „rupieć” zastępuje najmłodszej latorośli rodziny Całków absolutnie wszystkie wykrzykniki, jakimi ludzie zwykli obwieszczać światu o swoim podenerwowaniu. Wątpliwe zresztą, czy komputer, jako bądź co bądź martwa maszyna, zechciałby uwierzyć, że w ustach Macka to słówko wcale nie musi dotyczyć starych, zepsutych sprzętów, ale że równie dobrze odnosi się do każdej irytującej niespodzianki czy jakiegokolwiek niemiłej sytuacji. A poza tym cenne sekundy uciekały bezpowrotnie. Wprawdzie trening to jeszcze nie zawody, jednakże zakłócenie szybkiego rytmu następujących po sobie zadań i rozwiązań mogło zniekształcić prawdziwy obraz umiejętności kandydata na mistrza Astroniady, złotego medalistę Sześcioboju Planetarnego.

– Powtórz pytanie – powiedział prędko chłopiec.

– Powtarzam – zgodził się od razu głośniczek. – Oto dane dotyczące położenia statku wzywającego pomocy – na ekranie odżyły cyfry i znaki. – Kto pierwszy zdąży na ratunek: ty czy rakieta znajdująca się teraz w sektorze AX-7?

Maciek zastanowił się chwilę, po czym przebiegł palcami po klawiaturze komputera.

– Krótszą drogę ma pilot z sektoru AX-7 – odczytał wynik. – Ale ja także muszę polecieć. W pobliżu nie ma żadnego innego statku, który mógłby ubezpieczać tamtą rakietę w czasie akcji.

– Dobrze. Piłka spada na pole F-2!

– Przebijam na Z-1 – odpowiedział Maciek wpatrzony w ekran, na którym teraz panowała gwiezdna, kosmiczna noc.

– Dobrze. Wymień przynajmniej trzy nazwiska kompozytorów symfonii olimpijskich z dwudziestego pierwszego i dwudziestego drugiego wieku.

– Co?...

– Nie zrozumiałeś pytania? Wymień przynajmniej trzy...

– Zrozumiałem – przerwał niecierpliwie Maciek. – Nie wiem – dorzucił hardo.

– Niedobrze – stwierdził obojętnie głośnik, po czym wyrecytował pięć nazwisk. – Zapamiętasz? Czy mam powtórzyć?

– Nie wiem, czy zapamiętam, ale nie powtarzaj. Chcę startować w zawodach, a nie grać na flecie.

– Niedobrze.

– Rupieć!

– Słucham? – zagadnął aksamitnym głosem komputer.

Chłopiec przełknął głośno ślinę.

– Powtórz te nazwiska – wycedził przez zęby.

– A teraz ty – zażądał nieustępliwie głośnik, spełniwszy ostatnie polecenie. I Maciek posłusznie powtórzył.

– Dobrze. Piłka spada na pole C-3!

– Przebijam na Z-2!

– Dobrze. Przed tobą meteoryt lecący z szybkością dziewięćdziesięciu dwóch kilometrów na sekundę. Zderzenie czołowe za osiemnaście sekund.

– Strzelam – odpowiedział bez namysłu Maciek. – Jeśli meteoryt leci z szybkością większą niż osiemdziesiąt kilometrów na sekundę, to znaczy że przybywa spoza Układu Słonecznego. Takie meteoryty są niebezpieczne, kiedy znajdują się na torze statku, i wolno je zniszczyć. Meteoryty układowe podlegają ochronie.

– Dobrze. Gdzie znajduje się meta biegu Mars-maratońskiego?

– U stóp Pomnika Człowieka.

– Dobrze. Data bitwy pod Maratonem?

Rytm pytań i odpowiedzi uległ ponownemu zakłóceniu. Przez chwilę w pokoju panowała cisza.

– Nie zrozumiałeś... – zaczął komputer, ale Maciek i tym razem nie pozwolił mu skończyć. Zdusił w sobie pewne dwusylabowe słówko i powiedział grobowym głosem:

– Nie pamiętam.

– Niedobrze. Rok czterysta dziewięćdziesiąty przed naszą erą.

– Ale ja nie będę biegał przed naszą erą, tylko teraz, w roku...

– Niedobrze – z kolei przerwał głośnik.

– Bitwę pod Maratonem stoczono w roku czterysta dziewięćdziesiątym przed naszą erą

– ustąpił bez przekonania chłopiec.

– Dobrze. Alarm trzeciego stopnia.

– Zgłaszam swoją pozycję najbliższej bazie, po czym rozpoczynam nasłuch we wszystkich pasmach częstotliwości.

– Dobrze. Koniec treningu.

Na tarczy ekranu, z czarnej nocy wszechświata wychynęła uśmiechnięta twarz wychowawcy klasy, matematyka Pawła Kulskiego.

– Całkiem nieźle – powiedział z uznaniem. – Refleks: sześćset dziewięćdziesiąt sześć punktów na siedemset możliwych, umiejętności: sześćset siedemdziesiąt punktów, teoria... – pan Kulski zawahał się przez moment – no cóż, szczerze mówiąc teoria nie jest twoją najmocniejszą stroną.

– Pytania są jakieś takie dziwne – bąknął z urazą Maciek.

Uśmiech matematyka stał się nieco melancholijny.

– Są dość wszechstronne... zgodnie z regulaminem zawodów. Ale nie martw się – Kulski mrugnął pocieszająco – za to świetnie biegasz.

– Startuję jako przyszły specjalista – uniósł się honorem Maciek. – Dziękuję za uznanie, ale Astroniady nie wygrywa się nogami.

Wychowawca spoważniał i zatroskał się.

– Już od kilkuset lat każdy naukowiec, jeśli chce czegoś dokonać, musi być specjalistą – powiedział. – Ale im więcej w naszym świecie badaczy, którzy pracują w jednej, wąskiej dziedzinie, tym bardziej potrzebujemy światłych ludzi, interesujących się wszystkim, co dotyczy mieszkańców Ziemi. WYROBIENIU takiego poglądu służy między innymi nowoczesny sport. Chyba wiesz o tym. Inaczej nie wygrałbyś wszystkich wstępnych eliminacji i nie stałbyś się jedynym reprezentantem Strefy Bałtyckiej na tegoroczny Sześciobój. A poza tym, gdybyś rzeczywiście chciał zostać tylko specjalistą, to nie przychodziłbyś przecież na lekcje do szkoły. Bądźcie konsekwentny.

Nie da się ukryć, że wzmianka o zwycięstwie w eliminacjach zadźwięczała w uszach chłopca jak melodyjna piosenka. Jej harmonijne brzmienie zmały jednak ostatnie słowa pana Kulskiego.

Maciek bowiem był konsekwentny i raz obrawszy sobie przyszłą specjalizację wcale nie chciał chodzić do szkoły. Rok temu powiedział o tym ojcu. Rozmowa miała miejsce tutaj, w tym pokoju.

Ojciec, któremu udało się wyrwać na kilka dni z laboratorium na orbicie Marsa, gdzie prowadził badania asteroidów, podszedł wtedy do uczniowskiego pulpitu syna i usiadł na wprost ekranu. Omiótł wzrokiem aparaturę, pozwalającą w każdej chwili połączyć się nie tylko ze szkołą, lecz także ze wszystkimi bibliotekami posiadającymi elektroniczne zapisy książek wydanych od zarania dziejów, ze wszystkimi międzyszkolnymi pracownikami specjalistycznymi, a oprócz tego z muzeami, teatrami i salami koncertowymi w całym Układzie Słonecznym, po czym westchnął i powiedział:

– Masz rację. Odkąd wszystkie dzieci dysponują u siebie w domu tymi cudniami techniki informatycznej, chodzenie do szkoły nie jest obowiązkowe. Można nawet ukończyć studia nie ruszając się ze swojego pokoju. A jednak lubisz spotykać się ze swoimi koleżankami i kolegami, prawda?

– Jak. czasem – mruknął Maciek, nieco zbity z tropu.

Ojciec zaśmiał się krótko, wstał i położył synowi rękę na ramieniu.

– Ano, właśnie – podchwycił z humorem. – Czasem ktoś jest miły, a kiedy indziej nieznosny. Dlaczego? Ty sam często bywasz jak do rany przyłóż, a zdarza się... teraz nie będziemy o tym mówić. – Michał Całka spostrzegł, że twarz Maćka raptownie zmienia wyraz, i pośpiesznie wrócił do głównego tematu rozmowy: – W szkole spotykasz się ze swoimi rówieśnikami, z których każdy jest troszkę inny. Prawie wszyscy będziecie kiedyś specjalistami... ale właśnie dlatego powinniście się uczyć poznawać ludzi. To bardzo ważne, synu. Jeśli będziesz na przykład badał dalekie galaktyki, musisz pamiętać, że pracujesz także dla kogoś, kto w tym samym czasie na Ziemi maluje obraz, komponuje symfonię, produkuje żywność lub buduje domy. Chodzi o to, co tkwi w nas najgłębiej. O pragnienie szczęścia. A to już sprawa nie najnowocześniejszych datorów – ojciec wskazał ruchem głowy pulpit z ekranem – ani też superspecjalistów: bioników czy kosmitów. Najpierw trzeba poznać samego siebie, a to można osiągnąć tylko w bezpośredniej styczności z innymi ludźmi, ich życiem, troskami i radościami. Tylko ci naukowcy, którzy znają i rozumieją ludzi, naprawdę popychają świat naprzód, niezależnie od tego, czym się zajmują. Powinieneś chodzić do szkoły i spotykać się z kolegami, bo żywych, codziennych spotkań z ludźmi nic nie może zastąpić. Co tobie czy mnie przyjdzie z tego, że ktoś zbuduje jeszcze milion fantastycznych satelitów, jeśli ta budowa nie będzie mieć nic wspólnego z potrzebami i marzeniami całej ludzkości.

– Bardzo pięknie opowiedziane – zabrzmiał w tym momencie głos w kącie pokoju – ale obawiam się, że to trochę za mądre dla Ciuciutki. On jest jeszcze maleńki.

– Marku! – zawołał badacz asteroidów, patrząc z wyrzutem na swojego najstarszego syna, który niepostrzeżenie wszedł przez otwarte drzwi i od pewnego czasu przysłuchiwał się wywodom ojca. – Ty za to zachowałeś się całkiem niemądrze!

– Co tam! – roześmiał się lekceważąco jasnowłosy dryblas, liczący dwadzieścia lat i w pełni świadomy przewagi swego dostojnego wieku. – Chłopaczkowi wystarczy, że ma chodzić do budy, a kiedyś i tak zrozumie, po co. Prawda, Ciuciutka?

– Rupieć! – wrzasnął Maciek, który nie znosił swojego rodzinnego przezwiska. – Rupieć! – powtórzył z pasją, a następnie wybiegł z pokoju. W drzwiach zatrzymał się jeszcze moment, by wyrzucić z siebie: – A ja i tak nie chcę chodzić do szkoły! – po czym zmierzzył druzgocącym spojrzeniem starszego brata i zniknął w ogrodzie.

Ta scena sprzed roku odżyła w pamięci chłopca teraz, kiedy wychowawca podszedł go tak chytrze – przynajmniej we własnym mniemaniu – mówiąc, że gdyby Maciek chciał być tylko specjalistą, to przecież nie przychodziłby na lekcje do szkoły. Kandydat na mistrza

Astroniady zdał sobie sprawę, że pan Kulski myślał o tym samym, o czym mówił wtedy ojciec, tylko wyraził to inaczej, w przekonaniu – i to było najgorsze – że jego uczeń, nadzieja Strefy Bałtyckiej, w gruncie rzeczy przekomarza się jedynie, mówiąc z takim lekceważeniem o teorii, wobec czego dalsze walcowanie sprawy byłoby całkowicie zbędne.

W tej sytuacji Maciek osądził, że najrozsądniej będzie zmienić temat. Przybrał obojętny wyraz twarzy i spytał:

– Więc oglądał pan mój trening?

– Daruj – roześmiał się matematyk – ale nie mogłem sobie tego odmówić. Mam na pewno większą tremę niż ty. Nie gniewasz się?

Chłopiec pokręcił przecząco głową. Wiedział, że pan Kulski, podobnie zresztą jak pozostali nauczyciele, w żadnym innym wypadku nie pozwoliłby sobie na podglądanie ucznia w domu, chociaż aparatura informatyczna, łącząca szkołę z prywatnymi pokojami wychowanków, teoretycznie to umożliwiała. No cóż. Teoretycznie można przecież podstawiać nogi staruszkom przechodzącym przez ulicę, czytać cudze listy czy choćby ściągać chmury gradowe nad ogrody sąsiadów, a przecież nikt tego nie robi.

– Nie – powiedział Maciek. – Mam szansę?

– Nie przejmuj się tą teorią – odrzekł szybko matematyk – i już dzisiaj nie trenuj.

Jestem przekonany, że nie tylko przejdziesz z honorem przez jutrzejszy Turniej Kwalifikacyjny, ale że w ogóle wygrasz. Wszyscy na ciebie liczymy. Niestety, nie mogę polecić na zawody, ale będę siedział kołkiem przed trivi i zaciskał kciuki. Trzymaj się, Maćku... powodzenia! – Pan Kulski zniknął z ekranu równie szybko, jak przedtem się na nim pojawił.

Chłopiec przesiedział jeszcze kilka sekund bez ruchu, następnie wyłączył aparaturę, zerwał się z fotela i podbiegł do szklanej ściany. Przycisnął mały guziczek, odczekał, aż półprzeźroczysta, czerwona płyta rozstąpi się bezgłośnie, po czym wypadł do ogrodu i okrążając dom popędził po kamiennych stopniach poprzerastanych trawą na pierwsze piętro. Stopnie przechodziły w taras, a z tarasu drzwi prowadziły prosto do gabinetu ojca. Wprawdzie Michał Całka bywał w domu rzadkim gościem, ale gabinet z pełnym wyposażeniem czekał na niego zawsze, o każdej porze dnia czy nocy. Mogło się przecież zdarzyć, że zawitawszy na kilka dni do rodziny, będzie musiał popracować i tutaj.

Pokój ojca był dosłownie zavalony wszystkimi możliwymi przystawkami komputera i opleciony pajęczyną cienkich, kolorowych drucików. Maciek jednak wiedział, gdzie szukać tego, po co tu przyszedł.

Stos perforowanych arkuszy folii powędrował na podłogę, odsłaniając smukły pojemnik. Pokrywa odskoczyła z cichym trzaskiem. Ze znajdujących się wewnątrz skarbów chłopiec wybrał najpierw małe laser, który można było wbudować do zwykłego zegarka na rękę, a następnie zwój światłowodów, czyli specjalnych przewodów z soczewkami, służącymi zazwyczaj do przesyłania energii lub informacji w okolicach zamieszkałych przez ludzi, gdzie nie wolno manewrować otwartą wiązką promieni. Trafienie z lasera to nie żarty.

Maciek sprawdził działanie aparaciku, wmontował go w zegarek, przekonał się, że zakończenie światłowodu ma odpowiednią nakrętkę, po czym zamknął pojemnik, ułożył na nim z powrotem stertę arkuszy i wycofał się na taras, cicho zamykając za sobą drzwi. Wiedział, że gdyby go ktoś zauważył, byłoby mu bardzo trudno wytłumaczyć, czego szukał w gabinecie ojca. A prawdy przecież nie mógł powiedzieć. Wszyscy, nie wyłączając Leny – najłagodniejszej mamy pod słońcem – uznaliby rzecz za nieuczciwą. Uczciwą! A czy jest uczciwe, żeby sportowca, przyszłego specjalistę od gwiazd, pytać o bitwę pod Maratonem? I wprowadzać takie pytania do programu zawodów? Pokaże im, co warta ich teoria w obliczu prawdziwej techniki! W końcu – technika to także głowa! Zgoda, że Astroniady nie wygrywa się nogami. A jednak Mars-maraton cieszy się chyba największym zainteresowaniem widzów i nigdzie nie napisano w regulaminie, że człowiekowi, który

doskonale biega, nie wolno posłużyć się podstępem w konkurencjach teoretycznych. Zresztą, chodzi przecież jedynie o jutrzejszy Turniej Kwalifikacyjny. W czasie prawdziwych zawodów ani ten zmodyfikowany zegarek, ani światłowód nie będą mu już potrzebne.

W połowie ścieżki przystanął. Jeśli wszystko jest w porządku, to czemu tak bardzo nie chciał, żeby go ktoś zaskoczył w gabinecie ojca?

– Eee! – potrząsnął niecierpliwie głową, jak ktoś usiłujący odpędzić szczególnie natarczywą muchę. Szybko ruszył dalej. Minął otwartą ścianę swojego pokoju i wszedł do korytarza, gdzie zatrzymał się przed wysokim lustrem.

Na wprost siebie widział teraz chłopca całkiem nieźle wyrosniętego jak na swoje piętnaście lat, w miarę chudego, o długich nogach, wąskich biodrach i kościstych ramionach. Z tych ramion wyrastała odrobinę za długa szyja, unosząca dużą głowę, przykrytą nastroszoną strzechą ciemnoblond włosów. Niebieskie oczy patrzyły z uwagą. W tej chwili w ich wyrazie było coś, co Maćkowi niezbyt się spodobało, wołał jednak nie wracać do swoich niepokojących myśli, tylko co zagłuszonych owym rezolutnym „eee!”... Nos był całkiem zwyczajny, ani za długi, ani za krótki. Za to usta mogłyby być stanowczo węższe. Teraz nie było jeszcze najgorzej, bo zaciśnięte wargi tchnęły surowością, jaka cechuje muzealne wizerunki starożytnych mężów, ale w uśmiechu...

I nagle, całkowicie niespodziewanie dla samego siebie, Maciek najpierw uśmiechnął się, a potem zaśmiał cicho. Co tam! W sumie ten chłopak patrzący z lustra wcale nie wygląda na kogoś, kto chciałby być bezwonną igraszką losu. Taki chłopak mógłby nawet wygrać Astroniadę, a przynajmniej którąś z konkurencji Sześcioboju. Zresztą, dlaczego tylko „którąś”? Słyszycie ten krzyk reporterów trivi? „Maciej Całka mistrzem Astroniady!” To dopiero byłoby boloidalnie!

Tu należy wyjaśnić, że o ile określenie „rupiec” zastępowało Maćkowi najwymyślniejsze i najgorsze wyzwiska, o tyle słówko „boloidalnie”, „boloidalny”, oznaczało coś niebotycznie wspaniałego, obojętnie czy była to szczególnie udana zabawa, bohaterski czyn, najnowszy statek dalekiego zasięgu czy jakakolwiek bardzo przyjemna niespodzianka.

– Boloidalnie... – powtórzył na głos chłopiec widząc siebie oczami duszy na najwyższym podium. W tym samym momencie usłyszał za sobą charakterystyczne, przyciszone dźwięki. Ktoś skradał się za jego plecami... Niestety! Ten ktoś tak nadawał się do skradania, jak hipopotam do podróży na motorowerze. Każdy, w zamyśle bezszelestny, krok odbijał się tępy, metalicznym echem od ścian i sufitu.

– Bum! – krzyknął Maciek odwracając się gwałtownie.

Dwunożny stwór stanął bez ruchu i opuścił bezradnie ramiona. Na pierwszy rzut oka był trochę podobny do Marka, ale tylko na pierwszy rzut oka i tylko trochę.

– I tak się nie przestraszyłem – powiedział stwór obrażonym tonem. Mój system nerwowy...

– Ale chciałeś przestraszyć mnie! – przerwał ze śmiechem chłopiec. – Ty mnie! Tuptaczku!...

Osobnik nazwany „Tuptaczkiem” spojrzął z żalem na swoje metalowe stopy. Następnie uniósł głowę i zamigotał błyszczącymi oczami. Maćkowi wydało się, że w spojrzeniu tych oczu dostrzega coś w rodzaju niemego wyrzutu, i zrobiło mu się przykro.

– Przepraszam cię – powiedział. – Wiesz, jak to jest w rodzinie. Mnie także nazywają czasem... no, tak jak tego nie lubię. A ty przecież nie jesteś zwykłym robotem pomocniczym, Skrzaciku.

– Możesz mnie nazywać Tuptaczkiem – zgodził się wspaniałomyślnie Skrzacik. – Ale tylko wtedy, kiedy jesteśmy sami – dodał przezornie.

Chłopiec zaśmiał się:

– W każdym razie nigdy nie próbuj się skradać. A jeśli już koniecznie zechcesz, posmaruj najpierw podłogę grubą warstwą pasty!

– Na twoim miejscu wymazałbym z pamięci ten żalosny incydent – powiedział lodowatym tonem Skrzacik.

„Żalosny incydent” zaistniał dawno, ale do dzisiaj, ilekroć Maciek naraził się mamie lub braciom, ktoś zawsze przypominał, jak to najmłodszy przedstawiciel rodziny Całków, zirytowany głośnym tupaniem robota, wykorzystał moment, kiedy ten doładowywał swoje baterie, i pokrył mu stopy smarem do konserwacji łodzi. Skrzacik, rzeczywiście bezszelestnie, przemknął wówczas jak błyskawica przez przedpokój, pracownię Marka i pokój mamy, gładko wybijając po drodze wszystkie drzwi, by w końcu, po rozwaleniu szklanej ściany, wylądować w ogrodzie.

Powiedziawszy, co myśli o „incydencie”, Tuptaczek podeszedł do lustra i zatrzymał się przed nim. Teraz z kolei on przyglądał się przez chwilę swojej szczupłej sylwetce, błękitnej, plastikowej twarzy, potężnym ramionom, zakończonym zgrabnymi uchwytami, i stanowczo za grubym nogom.

– Co tam widzisz? – spytał ze śmiechem Maciek.

– Zastanawiam się tylko, co ty tutaj zobaczyłeś, że wprawiło cię to w tak doskonały nastrój – w głosie Skrzacika zadźwięczała nutka ironii. – „Skradałem się”, jak mówisz, nie tylko po to, żeby cię przestraszyć. Chciałem ci pokazać, jak zmieni się wyraz twojej twarzy, kiedy ktoś krzyknie nagle: w czasie zawodów, a poza tym, jak wiesz, zaprogramowano mnie z uwzględnieniem elementów pedagogiki. Jako opiekun rodziny muszę...

– Tuptaczek!

– Ciuciuśka!

– Rupieć!

– O, przepraszam – obruszył się nie na żarty Skrzacik – nie jestem rupieć! Marek mnie dopiero co wyremontował...

– Przecież wiesz, że nie myślałem o... – zaczął pojednawczym tonem Maciek, ale nie skończył. Po przeciwnej stronie domu rozległo się radosne ujadanie Feriego. Równocześnie dobiegły stamtąd zmieszane ludzkie głosy, nad którymi górował pojedynczy, donośny baryton.

– Kto to? – zdziwił się chłopiec.

Skrzacik stał chwilę bez ruchu. Następnie skinął lekko głową i powiedział:

– Przyjechał wuj Alf. Są także Ania i...

Maciek jednak już nie słuchał. Rozpromienił się, zawołał: „boloidalnie!” i pobiegł korytarzem w stronę głównego wejścia. Przybycie wuja Alfa, zawsze pełnego najdziwniejszych pomysłów, zapowiadało pyszną zabawę. A Maciek, nie zważając na to, że jego twarz przestawała wtedy przypominać wizerunek rzymskiego senatora, bardzo lubił się śmiać. Poza tym nie należało zapominać, że słynny historyk Alf Nielson będzie nie tylko jednym z jurorów jutrzejszego Turnieju Kwalifikacyjnego, lecz także członkiem kolegium sędziowskiego całej Astroniady.

Nad wierzchołkami drzew małał, oddalając się, różowy helikopter, którym przybyli goście. Stali teraz pośrodku trawnika, wiodąc ożywioną rozmowę z mamą Maćka, Leną Całkową, i jej najstarszym synem. Ten ostatni, ujrawszy brata, wycelował w niego wskazujący palec i przekrzykując pozostałych zawołał:

– A oto i wasz najgroźniejszy rywal! Zetrze was na proszek i posypie nim gwiazdy!

– To się jeszcze okaże! – zagrmiał wuj Alf.

Maciek zmrużył oczy i teraz dopiero poznał stojącą obok wuja swoją kuzynkę, Annę. Miała na sobie obcisły koralowy kombinezon, znakomicie podkreślający zgrabną sylwetkę i pięknie harmonizujący z jasną cerą i rudozłotymi włosami. Czarne oczy patrzyły na Maćka z niezbyt przyjaznym oczekiwaniami. To prawda, że byli rywalami. Anna także przebrnęła

zwycięsko przez eliminacje swojej strefy, jednak ten „proszek” stanowczo mógł sobie Marek darować.

Obok kuzynki stali jeszcze dziewczyna i chłopiec, którzy najwidoczniej także przyjechali z wujem Alfem.

– Poznajcie się – powiedziała swoim cichym, serdecznym głosem Lena – to jest Maciek, a to – wskazała nieznajomych – Ina i Roald Sviergowie.

– Cudowne rodzeństwo Strefy Północnej – dodał Marek. – Oboje zdobyli wspólnie pierwsze miejsce i prawo startu w Sześcioboju. Oglądaliśmy ich w trivi.

Maciek przywitał się z Anną, po czym podszedł do towarzyszącej jej pary. Nastąpiła ceremonialna wymiana słów „Maciek – Ina – Maciek – Roald”, a następnie dziewczyna dodała:

– Rośliny, egzobiologia i taniec. A ty?

– Ja... – Całka Junior zawahał się przez moment – ja tylko kamienie – mruknął wreszcie niechętnie.

– Ja interesuję się muzyką – Roald powiedział to takim tonem, jakby przepraszał obecnych za swoje tak mało kosmiczne hobby. Maciek udał, że uśmiecha się z uznaniem. Trivi rzeczywiście poświęciła Sviergom specjalny program; ostatecznie nieczęsto się zdarza, żeby brat i siostra z jednej Strefy równocześnie zdobyli prawo udziału w Astroniadzie, ale Maciek zapamiętał z tego programu tylko tyle, że Ina i Roald świetnie chodzą po górach swojej ojczystej Arktyki, uprawiają jakieś dziwne rośliny i wspólnie trenują. Autorzy audycji dawali do zrozumienia, że w Sześcioboju Sviergowie mogą się okazać groźni nawet dla najlepszych.

Roald miał ciemne włosy, ostrzyżone na pazia, wesołe oczy, był nieco niższy od Maćka, ale szerszy w ramionach. Liczył sobie piętnaście lat i kilka miesięcy, a już rok temu, na międzyszkolnych zawodach Europy Północnej, zdobył tytuł mistrza pilotażu. „Żeby mistrz pilotażu interesował się akurat muzyką” – pomyślał Maciek i od razu zdecydował, że Roald nie będzie konkurentem, z którym należałoby się liczyć. Z kolei obdarzył więc swoim zainteresowaniem Inę.

„Cudowna siostra” była cudowna nie tylko dlatego, że coś tam wygrała i miała cudownego brata. Maciek spojrzał na jej uśmiechniętą twarz i poczuł, że krew gorącą falą zalewa mu policzki. Zły na siebie chciał coś powiedzieć, ale zdołał jedynie odchrząknąć, ponieważ nagle zaschło mu w gardle.

– Masz czkawkę, młody człowieku?! – zapytał bardzo głośno wuj Alf.

– A mówiłam – odezwała się słodkim głosikiem Anna – że najlepszym sposobem na naszego Maciusia będzie przywieźć tu Inę. Przybiegnie na maratonie ostatni, żeby tylko przypadkiem nie zrobić jej przykrości. A przy okazji nam odpadnie jeden konkurent...

– Co oni plotą! – roześmiała się cudowna siostra patrząc na Maćka spod lekko zmrużonych powiek. – Nie słuchaj, bo się tak rozgniewasz, że zostawisz nas wszystkich daleko za sobą. A ja – dodała ciszej, jakby zwierzała się ze swojego największego sekretu – bardzo chciałabym wygrać...

Ina była jakby o jeden odcień ciemniejsza od Anny. Za to oczy miała złote i tylko złote.

– Każdy chciałby wygrać! – roześmiał się beztrosko Roald, a następnie spojrzał ciekawie na Maćka czekając, co odpowie jego siostrze ten sympatycznie wyglądający chłopiec, tak niegodnie zaatakowany przez Annę. I nie czekał długo.

– Ja... ja... ja... – złożył oświadczenie Maciek, po czym natychmiast przypomniał sobie, że nie przywitał się jeszcze z wujem. Ścisnął go tak długo, że w końcu wuj Alf wybuchnął śmiechem, od którego zadrżały okoliczne drzewa.

– Może mi ktoś powie – potoczył wzrokiem po obecnych – co się stało z tym reżolutnym chłopcem, który kiedyś pouczał mnie z całą surowością, że powinienem mówić wyłącznie szeptem, bo płoszę mu Bolidki!

- Co? Co? – spytali równocześnie Ina i Roald.
- Marek zrobił poważną minę i położył palec na ustach.
- Bolidki – zaczął scenicznym szeptem – to były ludziki z gwiazd, które zamieszkały pod tapczanem Ciu... to znaczy Maćka – zreflektował się w ostatniej chwili. – Były bardzo miłe, mądre i ogromnie polubiły mojego braciszka. Równocześnie jednak przejawiały niesłychaną wrażliwość na wszystkie głośniejsze dźwięki. Nie wolno nam było puszczać trivi, biegać po ogrodzie, grać z ojcem w piłkę, a nasz robot, Skrzacik, który rzeczywiście trochę tupie, został wysmarowany...
- O tym była już dzisiaj mowa – dobiegł od strony domu stanowczy głos. – Dzień dobry, Alfie. Dzień dobry, Anno. Dzień dobry...
- Skrzaciku – zawołał w pierwszym porywie Maciek – jesteś prawdziwym ideałem! Udowodnij mojemu bratu, że w twoim programie przewidziano elementy pedagogiki!
- Właśnie to zrobiłem – odpowiedział uprzejmie Tuptaczek robiąc kilka kroków w stronę zebranych. Feri, ciemnozłoty spaniel, podbiegł do niego i bardzo uważnie obwąchał metalowe nogi, jakby rozumiał, że odegrały one poważną rolę w toczącej się rozmowie. Feri tolerował wprowadzie domowego robota, z którym zżył się od szczeniaka, ale ten dziwny, człekopodobny stwór nigdy nie podbił jego psiego serca.
- Dzień dobry, Skrzaciku – powiedział serdecznie wuj Alf. – Zdaje się, że przyszedłeś w samą porę – dodał mrużąc zabawnie prawe oko.
- A mnie bardzo się podoba ta historia z... aha, Bolidkami – przypomniał sobie Roald.
- To świadczy o fantazji...
- Tej nigdy Ciuciúsce nie brakowało! – zgodził się skwapliwie Marek.
- Rupieć!
- Marku! – Lena spojrzała na syna z łagodnym wyrzutem.
- Nie przejmujcie się – w spojrzeniu, jakim Anna obdarzyła Inę i Roalda, była sama słodycz. – Moja rodzinka jest w gruncie rzeczy nieszkodliwa. Kiedy minie pierwszy szok, przekonacie się sami. Oni nawet czasem rozmawiają jak zwykli ludzie...
- Cicho! – zagrmiał wuj Alf. – Rodzina jest przewyborna! Wspaniałe tradycje! Ta młoda dama – wskazał jasnowłosą Lenę, z której twarzy nie schodził pogodny uśmiech – jest znakomitym botanikiem. Tu, nad Bałtykiem – wykonał zamaszysty gest, obejmując nim wszystkie strony świata naraz – prowadzi wielkie laboratorium biochemiczne! Jej mąż, a mój siostrzeniec, hula dzisiaj, jeśli się nie mylę, z jednej planety na drugą, ale zazwyczaj siedzi najspokojniej na orbicie Marsa i od czasu do czasu przylatuje nawet do domu. Ma także pełną szafę dyplomów naukowych, a jego prapraprapradziadek... – urwał, zastanowił się przez chwilę – może opuściłem jedno „pra” – rzekł bez przekonania, ale zaraz poweselał znowu i machnął ręką. – Nie będziemy teraz mówić o praprapra...
- Bardzo słusznie – wtrącił się Skrzacik. – Przygotowałem obiad i chciałem prosić miłych gości...
- Obiad – powtórzył marzycielskim tonem Marek.

Wuj Alf zdecydowanym ruchem odsunął salaterkę z kompotem i głęboko westchnął.

- Uff... Skrzaciku, przeszedłeś sam siebie – powiedział z podziwem.
- Skrzacik jest niezawodny – potwierdziła Lena posyłając robotowi wdzięczne spojrzenie.

Trzeba przyznać, że jak na niespodziewanie dużą liczbę stołowników, obiad rzeczywiście wypadł okazale.

- Staram się tylko wykonywać to, co do mnie należy – powiedział skromnie Tuptaczek, po czym zebrał naczynia i wrócił do kuchni.

Wuj wstał.

– Idę do ogrodu – oświadczył omiatając zebranych sennym spojrzeniem. – Macie tam nie zrównane fotele, a ja jestem człowiekiem starym...

Zanim ktokolwiek zdążył grzecznie zaprotestować, do pokoju wpadł Feri. Porwał z kąta swoją piłeczkę tenisową, podbiegł do historyka i zatrzymał się pod jego nogami. Piłeczka spadła na podłogę, a pies zastygł w wyczekującej pozie. Otwarty pysk czaił się nad zabawką, jedno oko łypało prowokująco w górę. „Stary człowiek” pokazał teraz, co potrafi. Krzyknął „oddaj!”, po czym błyskawicznym ruchem porwał piłeczkę i wymachując nią tryumfalnie wielkimi susami Wypadł przez otwarte drzwi do ogrodu. Feri z radosnym ujadaniem podążył za nim.

– Dobrze, że Skrzacik tego nie widział – zauważyła pogodnie Lena. – Pomyślałby, że Alf mimo wszystko wstał głodny od stołu.

– Nasz poważny wuj jest zawsze w siódmym niebie, kiedy może trochę narozrabiać – zaśmiał się Marek.

– Naprawdę w siódmym niebie jest teraz pies – skwitował Maciek. Stwierdziwszy, że odzyskał zdolność mowy, spojrzał śmieiej na ciemnozłote zjawisko siedzące między Anną i Roaldem.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI